

wość. Bardzo uprzejmie przywitał się z panią Łotuską i chociaż pani Wanda nie słyszała słów, była pewną, że mowa jest o żółtych kwiatach.

— O, pani Porecka prostuje się z podwójną godnością, — zaśmiała się pani Mniewska, — odchodzi na bok obrażona... woła córkę... Pani Łotuska figla zrobiła pannom swymi jastrunami.

Pan Jedliński i pani Łotuska, rozmawiając, szli w głąb salonu, nie zważając na liczne spojrzenia, goniące za nimi. Oczy Jedlińskiego błędziły po salonie, aż padły na panią Wandę, której skromna, czarna suknia odbijała od jasnych, barwnych strojów. Na tle ciemno-czerwonego obicia kanapy wyraźnie rysowała się jej głowa prześlicznych kształtów z fryzurą blond włosów à la Venus, a śnieżną białosć szyi podnosiła czarna suknia. Pan Jedliński, z pod oka, bardzo starannie obejrzał panią Wandę, począwszy od obcisłego, zgrabnego bucika, otulającego jej małą nóżkę, całą smukłą jej postać aż do ślicznie zarysowanej głowy; i po chwili pożegnał towarzyszkę, podszedł do doktora, będącego na sali i rzekł półgłosem:

— Może pan doktor byłby łaskaw przedstawić mnie tej pani w czarnej sukni.

— Któraż to? — uśmiechnął się.

— Siedzi na kanapce z panią Mniewską, — wskazał oczyma, — bardzo rasowa niewiasta i ma swój styl.

— Chodźmy... to pani Jerzycka z Królestwa, — objaśniał doktor.

— Wiem... wczoraj przyjechała.

Po odbytej formalności pan Jedliński usiadł obok pani Wandy na krzeselku i tonem najbardziej uprzejmym przemówił:

— Daruje pani, że chociaż nieznajomy a raczej nieprzedstawiony, pozwoliłem sobie pozdrowić panią dzisiaj na Gubałówce.

— Nie wiedziałam, że ta drożyna prowadzi na Gubałówkę.

— Widocznie pani pierwszy raz w Zakopanem... a sezon zimowy zapowiada się świetny, — mówił z ożywieniem, — zjazd gości i kuracuszów liczny... pani zamyśla tu długo zabawić?

— Nie wiem... może miesiąc, może dłużej...

Pan Jedliński opowiadał z zapalem o saneczkowaniu, o wycieczkach saniami w doliny zakopiańskie. W tej rozmowie brała żywy udział pani Mniewska, a pani Wanda miała czas i sposobność zauważyć kilkanaście niechętnych spojrzeń, skierowanych w jej stronę. Spojrzała też, że mąż, rozmawiając z panią Porecką, spoglądał bacznie na nią i po pewnym czasie, trochę kołując zbliżył się z twarzą uprzejmą. Stał tuż przy pani Mniewskiej i słuchał rozmowy.

— W tych dniach otwiera się kurs narciarstwa, sądzę, że pani zechce należeć. Jest to sport o wiele przyjemniejszy od ślizgania się na łyżwach. To pyszna gimnastyka całego ciała i płuc, — zachwalał pan Jedliński, — może pani spróbuje, a będę czuwał, ażeby panią nie spotkał karambol niepotrzebny.

— Dziękuję panu... wątpię bardzo, czy doktor pozwoli mi na ten sport.

— To niemożliwe, — wmieszał się pan Jerzycki, — jeśli ciebie spacer męczy, sanna, cóż mówić o nartach.

Pan Jedliński przedstawił się i zawiązała się ogólna rozmowa o sportach rozmaitych, a więc i o polowaniu.

Z początku pan Jerzycki dość surowo, a nawet opryskliwie krytykował każde zdanie, głoszone przez pana Jedlińskiego, tak, że pani Wanda widziała się zmuszoną łagodzić zbyt ostre wyrażenia męża.

— Co tam te wasze mieszczańskie sporty, — drwił pan Jerzycki, — a łyżwy, a wrotki, a wiosłowanie lub strzelanie do celu. Posadziłbym tych waszych arcymistrzów na konia i pędz za chartami... albo strzelaj do lisa... stań przed odyńcem... zobaczylibyśmy dopiero, jakby zmykali ci mistrze! — śmiał się.

Pan Jedliński z miną dobrze wychowanego człowieka, potakiwał krytyce złośliwej z uśmie-

chem niewyraźnym, a pani Wanda zwróciła się do męża z uwagą:

— Każdy sport wymaga siły, zręczności, wprawy, i nie idzie o rodzaj sportu, ale o wykonawcę. Nie wiadomo, czy ten, który siedzi wybornie w siodle, lub strzela w lot, potrafiłby równie dobrze łyżwować lub wiosłować.

— Za dzień, za dwa, nauczę się tych miejskich sportów, — rzekł lekceważąco pan Jerzycki, — pamiętasz... od pierwszego razu jechałem na bcyklu, a w mieście uchodzi taka jazda za sztukę i sport, — zaśmiał się.

— Do pewnego stopnia zgadzam się na krytykę gatunków sportu, — mówił przyjaźnie pan Jedliński, — ale obaj zgodzimy się, że sporty mają wyrobić ludzi zdrowych i dzielnych, jak to pani z właściwą niewiastom bystrością zauważyła, a do takich ludzi należy przyszłość. Sądzę, że jest to rzeczą nie tylko lekarzy, ale i obywateli zachęcać do sportów, i z tych powodów wspominałem o nartach.

Pana Jerzyckiego pogłaskało zdanie, że on



Szli rozmawiając w głąb salonu.

myśli o społeczeństwie, o zdrowiu i dzielności innych i już przyjaźniej powiedział:

— W braku innej rozrywki sportowej może i narty są dobre, ale nie dla mnie.

— O, ja to rozumiem, — zapalał się pan Jedliński, — inna rzecz polowanie par force, albo z chartami...

— Pan poluje? — zablęsty mu oczy.

— Tak jest. Na wsi, to jedna z najmielszych rozrywek... tak na ponowę, psy grają, las cichy niesie echa, padają strzały... trąbka...

— Otóż to, — zaśmiał się ucieszony pan Jerzycki, — a po otrąbieniu śniadanie w lesie, i jak smakuje bigos, gorzałka, — połknął ślinę smakosza.

Pan Jedliński umiał tak wybornie trafić w ton męża pani Wandy, że zanim zadzwoniono na kolację, byli obydwa w najlepszej zgodzie, a pan Jerzycki nie tał się ze swą sympatią dla niego, gdyż jak mu się zdawało, pan Jedliński podzielał jego zamiłowania, a nawet znał się na wartości kuchni.

Adwokat z zawodu, właściciel wsi na Wołyniu, drogą niespodziewanego spadku po zimnej ciotce, był pan Jedliński za sprytny, ażeby nie

umiał poznać słabych stron męża pani Wandy i potrafił szybko pozyskać jego względy i zaufanie, chcąc tym sposobem zabezpieczyć się od jego podejrzeń, jako męża żony, którą zamierzał bałamucić.

Przy ogólnym stole siedział pan Jedliński z panią Porecką; tego wieczora zρέcznie przesunął swą serwetę z napisem o dwa miejsca bliżej Jerzyckich, a gdy siadano, zawołał z udaniem zdziwieniem:

— Co za szczególny wypadek, moja serweta i miejsce obok pana... dokończymy interesującej rozmowy.

W czasie kolacyi, na której podano szynkę na gorąco i omlet ze szparagami, wszczął rozmowę o przygotowaniu szynki i rozmyślnie podniecił pana Jerzyckiego w kierunku smakosztwa, zauważył bowiem, że pani Wanda nie lubi tego, z doświadczenia wiedział, że najlepszy sposób obniżenia drugich, jest ich ośmieszenie, a w jego planie leżało obniżenie pana Jerzyckiego, który nic nie podejrzewając opowiadał tonem znawcy, jak należy przygotować szynkę do ugotowania i oświadczył, że szynkę przed uwędzeniem należy dobrze natrzeć czosnkiem dla smaku.

— To pachnie żydowstwem, — zawołała pani Łacka, — nie rozumiem, jak można psuć tak szynkę. Ja tylko jeden ząbek daję do marynaty, następnie wędzę, gotuję, a gdy ostygnie w sosie, podaję na stół.

— I ma pani szynkę bez soku, łykowatą lub sypką jak sieczka, — zadrwił pan Jerzycki.

— Co? Jak! Dłaczego? — poczerwieniała.

— Jakże pan robi? — spytał poważnie pan Jedliński.

— O, u mnie inaczej, — mówił z miną uroczystą; — wędzoną szynkę moczą w wodzie przez noc, szczotką szoruje się ją ze sadzy i kurzu, gotuje się ze trzy godziny, a następnie wkładam w lodowatą wodę, — zrobił krótką pauzę i objaśniał, — zimna woda tworzy delikatną skorupę na szynce i cały sok, cały smak zostaje wewnątrz i miejscami tworzy wyborną galaretę, — ustami smakował taką szynkę.

— Istotnie, tak przyprawiona szynka musi być wyborna, — chwalił pan Jedliński z uśmiechem, — ale ja niestety nie posiadam takiego talentu kulinarnego.

Pan Jerzycki, zadowolony z wrażenia mówił z ożywieniem i z zamiarem przekonania żony, że jego pogląd podzielać wszyscy ludzie:

— Jeść byle co, byle jak, to doprowadzi barbarzyństwa i zaniedbywania zasad higieny. Przeważna też ilość chorób powstaje tylko ze złego i nieestosownego odżywiania się. Nieprawdaż, panie Jedliński?

— Pan ma zupełną słuszość, — mówiła z uznaniem pani Łacka, — my, matki i żony, wiemy najlepiej

o tem. Mąż truje się gdzieś po restauracjach, dzieci, — spojrzała surowo na Rytę, — opychają się ciastkami i cukrami, a wszystko odbija się na nas, — westchnęła.

— Zdawałoby się, że szczęście polega na jedzeniu, — zaśmiała się Ryta ironicznie.

— Jeśli nie szczęście, — rzekł poważnie Jerzycki, — to zdrowie i spokój domowy, które są podstawą szczęścia.

— Jaka pani szczęśliwa, — zaśmiała się pani Mniewska patrząc na panią Wandę, — że tak tanim kosztem może pani uszczęśliwić męża.

Pani Wanda z wielką przykrością przysłuchiwała się tej rozmowie ze spuszczonej oczyma, przekonana, że wszyscy patrzą na nią z drwiącą litością, a odezwanie się bezpośrednio do niej było kroplą przepełniającą, to też ze złośliwym podkreśleniem odpowiedziała:

— Jakiej zasadzie inni hołdują, nie wiem, ale ja trzymam się sentencji rzymskiej: nie żyje się, aby jeść, lecz je się, ażeby żyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).